MYŚLIWY

MIESIĘCZNIK

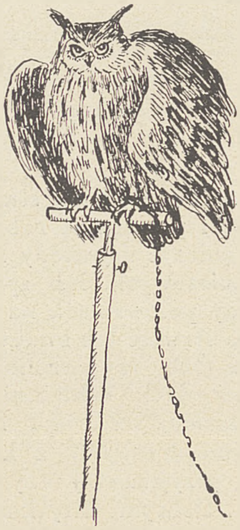
ROK II POZNAŃ, PAŹDZIERNIK 1938 NR 10

WIERNY TOWARZYSZ

Na jasnym — kryształowo czystym niebie, jakiem ono zwykle bywa w słoneczne dnie październikowe, zamajaczyła zgrabna sylwetka gołębiarza. Śmigły rabuś zdaleka już posłyszał podniecone krakanie wron i skrzekotanie srok i zoczył krążące wciąż nad jednym miejscem ptaki. Przez ciekawość skierował się również w tę stronę i zobaczył swego śmiertelnego wroga — olbrzymiego puchacza, siedzącego spokojnie na wysokim słupku. Nocny rozbójnik pogardliwie spozierał złocistym okiem na natrętną gawiedź, uwijającą się nad nim i tylko puszył od czasu do czasu pędzelki uszu. Gołębiarz, rycerz dzielny i odważny, postanowił zaatakować wroga. Uniósł się wyżej, zachybotał w miejscu, okrążył kilka razy puchacza i śmiało rozpoczął ofenzywę. Zanim się jednak zmierzył do ciosu — zahuczał strzał — i pręgowatą pierś jastrzębia przeszyły śmiercionośne śruciny. Drapieżnik załopotał bezwładnie skrzydłami i opadł na ziemię. Wówczas, jak spod ziemi, spoza krzaku jałowcowego wyłoniła się postać myśliwego, który, pośpiesznie pochwyciwszy celnie strąconego drapieżnika, ukrył się ponownie w doskonale zamaskowanej budce. (Właściwie nie należy podnosić ubitych ptaków, bo one nie odstraszają, lecz przeciwnie pobudzają drapieżniki do ataku.) Była to budka przenośna w postaci niewielkiego namiotu — z otworem skierowanym w stronę słupka z puchaczem. Namiot ten ze wszystkich boków zasłonięty był gałęziami i najbystrzejsze oko nie mogło go zauważyć. Zasadniczo rozróżniamy dwa typy budek: przenośne, jak wyżej opisana, i stałe. Stałe budki sporządzamy z kantówki i desek grubości 3 cm, umieszczając je do połowy w ziemi — w specjalnie wykopanym kwadratowym dole. Trzy ściany winny mieć około 160 cm wysokości, czwarta północna — skierowana w stronę puchacza — niższa. Nad tą niższą ścianą sporządzamy w nachylonym pod kątem 60° okapie daszku otwór zaciągnięty płótnem, w którym z kolei wycina się mniejszy otwór do obserwacji i obstrzału atakujących puchacza drapieżników. Pozostałe części dachu okrywamy papą i okładamy darniną, aby budka z góry robiła wrażenie kopca. W ścianie południowej znajduje się wejście, do którego dostajemy się po schodach. Z zewnątrz do wejścia prowadzi rów. Budek stałych naturalnie nie można budować w tych miejscach, gdzie znajduje się płytka woda gruntowa, albo układać je z cegły, wewnątrz, okrytą z góry deskami studzienkę, co jest nieco kłopotliwe i pociąga za sobą większe koszty, a zatem ograniczyć się wtedy lepiej do budek przenośnych-namiotowych, lub sporządzać budki z gałęzi, jak przy polowaniach na tokach cietrzewi. Budki trzeba stawiać lub budować, zależnie od tego, czy są to stałe czy przenośne urządzenia, na haliznach porosłych krzakami i pustkowiach. Unikać trzeba sąsiedztwa drogi, lub miejsc otoczonych wysokimi drzewami, z których drapieżniki dokładnie przyjrzawszy się okolicy, mogą wykryć podstęp. Dobrymi skrytkami są także stogi lub sterty.

Zobaczymy teraz, co porabia nasz wierny towarzysz-puchacz. Po zabiciu gołębiarza, złotooki kompan już się uspokoił i ze stoicką miną oczekuje nowych ataków. Obserwowanie puchacza podczas polowania jest wielce pomocnym dla myśliwego, ponieważ odmiennie reaguje on na pojawienie się różnych drapieżników skrzydlatych. Na wrony i sroki prawie nie zwraca uwagi. Przy pojawianiu się drobnych sokołów, myszołowów i krogulców zaczyna się poruszać na słupku i puszyć pióra. Kiedy zoczy sokoła wędrownego lub gołębiarza, stroszy uszy i przybiera krztałt kulisty, wydając bojowy okrzyk w odpowiedzi na wołanie gołębiarza. Na widok orła puchacz zeskakuje ze słupka i kładzie się na wznak w pozycji obronnej. Drapieżniki także rozmaicie reagują na widok puchacza. Gołębiarze nacierają nieraz kilkakrotnie i są wobec tego dość łatwym obiektem, sokoły natomiast — zgodnie ze swoją naturą — uderzają tylko raz i chybiwszy odlatują. Kanie odznaczają się wielką ostrożnością i krążą zwykle z daleka. Myszołowy zaciekle napadają na puchacza, lecz możemy je oszczędzać, z daleka jeszcze poznając po charakterystycznym krzyku „Hi-je". Oszczędzamy także pożyteczne pustułki, kobczyki i pszczołojady, które reagują również na obecność puchacza. Bardzo pożądane jest jak największe zgromadzenie hałaśliwych wron i srok, które, stwarzając wielki harmider, zwabiają inne poważniejsze drapieżniki. Dlatego też strzelanie tego proletariatu odkładamy na koniec. Najlepszą porą dnia dla polowania z puchaczem są — jak to podaje w kalendarzu myśliwskim 1931 r. inżynier H. Knothe — godziny ranne i popołudniowe, poczynając od godz. 3; wówczas drapieżniki najostrzej atakują swego znienawidzonego wroga...

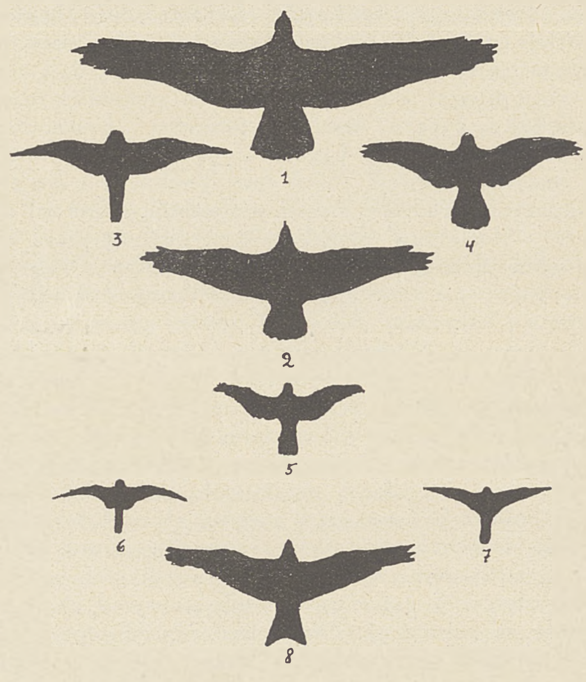
Upłynęło kilkadziesiąt minut od chwili ubicia jastrzębia. Myśliwy i puchacz nie zwracali uwagi na wrony — czekali godniejszych gniewu i strzału napastników. Gdzieś na skraju halizny mignął cień kani o typowym zlekka rozwidlonym ogonie. Chyłkiem się skradał ostrożny, lecz ciekawski drapieżca — aż wreszcie zbliżył się na odległość dość dalekiego strzału i przypłacił to ży-



ciem. W ślad za kanią na „tamten świat“ wyprawiły się trzy krogulce i kobuz. Śmierć tych małych napastników była dobrą przestrogą dla bezczelnie uwijającej się nad puchaczem i donośnie miauczącej pary myszołowów, która widząc, że myśliwy strzela celnie, oddaliła się pośpiesznie, złorzecząc na puchacza... Pojawił się wysoko, pławiąc się w przeczystym powietrzu i majestatycznie zataczając koła, olbrzymi orzeł przedni. Puchacz w oka mgnieniu zeskoczył ze słupka i tak nastroszył pióra, że wydawał się co najmniej dwa razy większym. Klapiąc dziobem i pionowo stawiając uszy mocarny rycerz nocy szykował się do pojedynku z dumnym rycerzem słonecznych przestworzy. Lecz orzeł rozmyślił się i spokojnie popłynął gdzieś w niezmierzoną dal. Myśliwy wciąż czekał na jakiś rzadki okaz, o który nie trudno na jesiennym przelocie. Cierpliwość jego wkrótce została sowicie nagrodzona, bo znienacka nadleciał okazały orzeł bielik i spadł po celnym strzale niby kamień. Tchórzliwe błotniaki, które z zasady nigdy się nie zatrzymują, również złożyły dzisiaj krwawą daninę puchaczowi, który niby jakieś wszechwładne bóstwo, z posągową godnością siedział niewzruszony na słupku. Polowanie dobiegało końca. Słońce zaczynało świecić zbyt jarząco i puchacz z niezadowoleniem mrużył bursztynowe ślepia, odwracając posępne oblicze od promiennych uśmiechów południa.

Królewicz-październik w bogatej, uszytej ze złotych i purpurowych liści szacie, obdarzał ziemię pożegnalnym stygnącym uśmiechem z cicha szepcąc o zbliżającej się szarudze smutnego nudziarza — listopada. Na zakończenie myśliwy złożył u stóp wiernego towarzysza obfitą ofiarę — całą hekatombę wron i kilka srok. Nareszcie pomszczone zostały prostackie drwiny i ordynarne wyzwiska, jakimi obrzucały wrony-opryszki ze świata drapieżców skrzydlatych — solidnego, pełnego poczucia własnej godności puchacza.

Myśliwy wyszedł z budki, wyprostował stężałe członki, złożył namiot i trzymając w ręku specjalny kosz, zbliżył się do swego kompana. Kosz, lub klatka przenośna (jak to podaje inż. H. Knothe) powinien być lekki, o kwadraturze podłogi 35 do 40 cm, a wysoki na 50—60 cm. Podłogę należy wykładać tekturą, żeby puchacz nie czepiał się dna. Drzwiczki trzeba robić wielkości jednego boku, aby łatwo było nakryć nim ptaka, nie ruszając go ręką, co jest bardzo niebezpieczne ze względu na ostry dziób i szpony puchacza. Kosz trzeba zaopatrzyć na podobieństwo plecaka w dwa rzemienie. Słupki, na które sadzamy puchacza podczas polowania, bywają różnej konstrukcji. Najprostszy i najlepszy składa się z poprzeczki z trzonkiem, który się wkłada do otworu w kołku, wbijanego do ziemi. Słupek ten posiada dwa kółka, przez które przechodzi linka, służąca do poruszania poprzeczki i słupka. Przy stałych bud-



1. Orzeł przedni. 2. Orlik. 3. Sokół wędrowny. 4. Gołębiarz. 5. Krogulec. 6. Kobuz. 7. Pustułka. 8.Kania rdzawa. 9. Błotniak (typ). 10. Pszczołojad. 11. Myszołów (typ).

Rys. W. L.

(częściowo wg kpt. S. Łysińskiego: „Kalendarz Myśl. 1938“)

kach używa się słupka składającego się z trzech części: kołka na stałe wbitego w odległości 20 m od budki (w tej odległości najlepiej ustawić puchacza), drewnianej rury o przekroju kwadratowym (dług. na 160 cm), którą nakłada się na kołek i drążka z poprzeczką dla puchacza. Drążek ten wkłada się z góry do rury wyżej wspomnianej. W jednym boku w połowie wysokości wycina się otwór na rolkę, drugą rolkę umieszcza się u dołu. Przez te rolki zakłada się linkę, za pomocą której podciągamy drążek z puchaczem wyżej lub niżej. Obok słupka wbija się kołek służący do umocowania tej linki. Górną część rury drewnianej owijamy słomą, aby ułatwić puchaczowi wdrapywanie się na poprzeczkę. Przy słupkach innej konstrukcji musimy go sadzać z powrotem, jeżeli zeskoczył na ziemię, za pomocą krzyżaka.

Dla łatwiejszego chwytania, zdejmowania i sadzania puchacza zakładamy mu długi (2 m) łańcuszek. Jednym końcem przyczepiamy łańcuszek do uchwytu rzemiennego, zapiętego na nodze ptaka, drugi zaś koniec przytwierdzamy do klatki lub kosza, w którym przynieśliśmy ptaka wzgl. do wspomnianego wyżej krzyżaka. Uchwyt lub pętla sporządzona z miękkiego rzemienia (2 cm szerokości), posiadającego gęsto przekłute otworki, aby łatwiej można było go dopasować do grubości nogi ptaka. Do uchwytu przymocowuje się kółko, przez które przedzierzgamy łańcuszek.

W okresie częstych polowań — jesienią i na wiosnę — uchwyt stale pozostawiamy na nodze ptaka. W czasie martwego sezonu zdejmujemy tę „branzoletkę", bo pod nią gromadzą się dokuczające ptakowi pasorzyty. W ogóle należy zapewnić naszemu przyjacielowi i towarzyszowi łowów komfort i wygodę. W tym celu sporządza się budkę w rodzaju gołębnika, na słupku tak wysokim, aby stojąc na krześle można było ją sprzątać. Wielkość tej budki powinna być następująca: podłoga 1 × 1 m, wysokość 80 cm do 1 m. Boki od zachodu i północy muszą być szczelnie zbite, zaś od południa i wschodu ażurowe z cienkich listewek. W zimie towarzysza łowów najlepiej trzymać na ciepłym strychu z oknem od strony południowej. Dno w klatce lub podłogę na strychu posypuje się codziennie świeżym piaskiem. Wewnątrz klatki ustawia się grubą gałąź z odnogami, którą przy sprzątaniu klatki lub przy wyjmowaniu ptaka, usuwamy.

Co się tyczy żywienia puchacza, to najlepszym pokarmem są świeżo zabite ptaki i drobne ssaki, zadawane w całości (ptakom obcina się skrzydła i nogi), gdyż pierze i sierść są niezbędne dla dobrego trawienia (połyka także drobny żwir). Woda wbrew zdaniu niektórych uczonych jest dla puchacza niezbędną; używa jej zarówno do picia jak i do kąpieli. Zaznaczyć trzeba, że podczas pierzenia się puchacza nie bierze się go na polowania, bo może się to fatalnie odbić na zdrowiu cennego ptaka. Klatkę co pewien czas należy dezynfekować, smarując ją gorącym karbolineum. Wskazanym jest, już nie z powodów sanitarnych i „żołądkowych", lecz z psychologicznego punktu widzenia, jak najczęstsze obcowanie myśliwego z ptakiem, z czego wywiązuje się pewna zażyłość. Tak oswojony puchacz oddaje znacznie większe usługi na łowach, niż płochliwy, a przede wszystkim milszy jest w obejściu i nie naraża myśliwego na wątpliwą przyjemność pokaleczenia rąk.

Pomimo wszystkich kłopotów i trosk, jakie nastręcza chowanie puchacza, warto się tym zająć,



Fot. R. Krieger

bo polowanie z nim daje tyle emocji i zadowolenia, jakich nie możemy doznać, używając puchacza wypchanego lub manekina. Ptaki drapieżne nigdy nie atakują puchacza wypchanego z taką pasją jak żywego, nawet jeżeli sporządzimy prymitywny mechanizm, poruszający skrzydłami ptaka przez pociąganie sznurka. Drapieżniki pobudza do ataku niespokojne zachowanie się ich odwiecznego wroga i dźwięki przez niego wydawane. Polowanie z puchaczem daje szereg korzyści myśliwemu-hodowcy, a mianowicie umożliwia wybór zasługujących na tępienie i specjalnie szkodliwych dla łowiska drapieżników i daje możność zdobycia rzadkich, nieraz o muzealnej wartości okazów. Jest to okazja do poczynienia szeregu niezwykle ciekawych obserwacji przyrodniczych i dokładnego wystudiowania sylwetek różnych drapieżników (p. tabelkę), a także jest to doskonałe ćwiczenie w strzelaniu do lecących ptaków.

Szeleszczą złote, rude, płowe i szkarłatne szaty października. Snują się tu i ówdzie srebrzyste nici pajęczyny. Słońce śle ziemi swój pożegnalny, tkliwy, a smutny zarazem uśmiech. Złotooki kompan spoczywa cichutko w koszu, oczekując smacznego posiłku i zasłużonego odpoczynku w przytulnej budce. Siedzi puchacz dostojnie i medytuje... Z pewnością majaczą jeszcze przed nim sylwetki jego napastników, spadających z nieba jak rażone piorunem, strąconych celnym strzałem jego opiekuna-myśliwego... Budzi się w duszy puchacza niezagasła tęsknota do tych dawnych dobrych czasów, kiedy on, wolny król nocy, szerzył popłoch i spustoszenie w mrocznych zakamarkach kniei.

Inż. W. Lindemann

Zając pospolity — w gwarze łowieckiej szarak — jest, jak sama nazwa już mówi, niewątpliwie najbardziej rozpowszechnionym i najpospolitszym zwierzęciem łownym w łowiskach nie tylko Polski ale i Europy. Wszędzie żyje i rozmnaża się zając. Czy to na ubogich piaskach wydm mierzei helskiej czy puszczy Błędowskiej, czy w górach lub w rozlewiskach i nizinach rzek naszych, czy wreszcie na żyznych Kujawach lub ubogich Kaszubach, wszędzie go pełno — tu mniej, tam więcej — ale wszędy jest i wszędzie stanowi atrakcję, alfę i omegę zimowych, tradycyjnych polowań i polowanek.

A mimo, że szaraczek jest zwierzyną tak pospolitą, że każdy ją zna, to jednak zastanawiającym jest fakt, że nie posiadamy, ani w polskiej literaturze łowieckiej a nawet w zagranicznej, wyczerpującej monografii o zającu. Istnieje wprawdzie w polskiej literaturze mała monografia o zającu Wiktora Stephana; jest to jednak dziełko przestarzałe (1905 r.) i dla myśliwych obecnie bez większego praktycznego znaczenia.



Fot. E. Kossecki

W drodze do lasu

Gdzie szukać przyczyny, że światowa literatura łowiecka nie posiada o tej najpospolitszej naszej zwierzynie łownej monografii takiego pokroju jak prace lub dzieła Racsfelda o jeleniu i sarnie, Kiesslinga o jeleniu, Snethlagego o dziku itp.?

O ile się mówi o zającu względnie zachęca kogoś do podania w prasie swych spostrzeżeń o szaraku, zazwyczaj słyszy się odpowiedź „poco nosić sowy do Aten", przecież i tak o zającu wszystko wiemy, taki to pospolity zwierz, każdy go zna! I w tym, moim zdaniem, tkwi przyczyna, dla której nikt nie pisze o zającu, bojąc się po prostu, że to, co zamierza napisać, już jest każdemu znane.

Z tej przyczyny przypuszczalnie zaistniało ubóstwo nasze w tej dziedzinie literatury.

A przecież tyle jeszcze jest rzeczy niewyjaśnionych, odnośnie biologii zająca. Wspomnę choć o ilości parkotów, rzutów itp. To wszystko są rzeczy dotychczas w zupełności niewyjaśnione.

Na wiadomościach o trybie życia winny być oparte systemy stosowanych polowań, by zbytnio nie niszczono stanu zajęcy w łowisku i by przy największej wydajności łowiska jak najmniej szkodzić jego równowadze.

A musimy przyznać, że dużo grzeszymy odnośnie zajęcy i to szczególnie w kierunku urządzania polowań na szaraki.

Najważniejszym czynnikiem, przyczyniającym się do rozwoju stanu zajęcy w łowisku jest przede wszystkim umiejętne urządzanie i wybór systemu polowania.

Jakie są najczęściej praktykowane u nas sposoby polowania na zające?

Przede wszystkim polowania na szukanego względnie na pomyka.

W ten sposób polują w pierwszym rzędzie wszyscy ci, którzy pracując w dni powszednie, wykorzystują wolne (angielskie) popołudnia sobotnie i niedziele, by wypocząć po trudach tygodniowej harówki. Ten system polowania (w soboty i niedziele) zdawać by się mogło, nie jest zbyt szkodliwym, jednakże wówczas jedynie, o ile bywa wykonywany przez cały sezon w jedno popołudnie i jeden dzień (a nawet 3—4 razy). Ale zazwyczaj wykorzystuje się wszelki wolny sobotni i niedzielni czas w ciągu sezonu, a to w sumie równa się około 15 dniom i tyleż popołudniom. A nie daj Boże, by łowisko myśliwego przylegało do jego miejsca urzędowania, by mógł łatwo wykorzystywać i inne dzionki w tygodniu!

A w czym tkwi szkodliwość polowania na pomyka dla łowiska? Twierdzi się, że podczas polowań na pomyka pada większa ilość samic. Tym samym ten rodzaj polowania niszczy te sztuki, które przede wszystkim przyczyniają się do rozmnoży zajęcy. Udowodnieniem tego twierdzenia zajmował się po raz pierwszy w latach 1893—1898 nadleśniczy Eulenfeld, który jednak doszedł do wniosku, że podczas polowania na pomyka pada równa ilość samic i samców. Inni myśliwi niemieccy twierdzą różnie. Zajmowali się tą kwestią i obszerniej opisali w „Wild und Hund", r. 1935, nry 39 i 41, Freder, Anserinus oraz Bernhauer. Ostatni twierdzi odnośnie twardszego dosiadywania zajęcy — samic, że pewną rolę odgrywa tu raczej wiek a nie płeć.

Ostatnio Instytut Łowiecki w Berlinie (Wannsee) zajął się wyświetleniem tej kwestii. Zbadano 187 481 zajęcy. Z ilości tej było 49,75% samcami, 50,25% samicami. Na nagonkach ubito i zbadano 80 571 sztuk — z tego 49,4% samców, 50,6% samic, na pomyka ubito i zbadano 12 708 sztuk, z tego 52% samców, 48% samic. Jest to materiał bardzo poważny i wyraźnie mówiący, że obojętnie, czy poluje się nagonką czy też na pomyka, stosunek płci będzie zawsze mniej więcej 1 : 1.

Pomimo co dopiero wymienionych tez należy stanowczo twierdzić, że polowanie na pomyka jednak niszczy łowiska i to dlatego, że poluje się przez cały sezon, wystrzela wielką ilość zajęcy, większą, aniżeliby ubito jednorazowo na nagonce. Nie należy oczywiście bezwzględnie potępiać polowania na pomyka. Jest ono potrzeb-

ne szczególnie dla tresera wyżłów, który właśnie podczas tego rodzaju polowania uczy psa respektowania zająca, aportowania, warowania itp.

A zatem polujmy na pomyka oględnie, rzadko i tylko w razie potrzeby!

Podczas polowań w kotły (na polu) musimy zważać na to, by koła te były możliwie jak największe, by była stosunkowo mała, ale zato dobrze strzelająca ilość strzelb, oraz by było sporo naganiaczy. Często bowiem zdarza się, że w łowisku o powierzchni około 500 ha — z 6 do 8 kotłami po 70 ha, jest 20 myśliwych i mniej więcej tylu naganiaczy. Im większy będzie kocioł, tym korzystniej dla zwierzyny; zawsze jednak należy postawić pod znakiem zapytania zbyt wielką ilość strzelców, gdyż otwór kotła szybko się zmniejsza.

Na jeden szczegół pragnąłbym zwrócić jeszcze uwagę, o ile chodzi o polowanie w kotły. Niemalże wszędzie jest zwyczaj trąbić, skoro kocioł jest już tak mały, że nie można strzelać do jego środka. Sygnał ten zazwyczaj bywa interpretowany i stosowany fałszywie a mianowicie po sygnale myśliwi stoją na miejscu, a naganiacze wchodzą w środek kotła, by wypłoszyć zeń resztę zajęcy.

Jest to źle!

Po trąbce winni myśliwy postępować razem z naganiaczami w kierunku środka kotła; jednakże strzelać wolno jedynie za siebie, do zajęcy wymykających się z kotła.

Poluje się na zające również tzw. ławą czeską. Myśliwi na przemian z naganiaczami postępują naprzód w tyralierze. Ten sposób polowania może być szkodliwym dla stanu zajęcy, dlatego też w kiepskich latach zajęczych skrzydeł nie należy obsadzać myśliwymi i zakazać strzału za siebie.

W lesie poluje się na zające „na stanowiskach" (mioty). Odległość myśliwych od siebie może wynosić ± 80 metrów. Skrzydła flanki zasadniczo winny pozostać nieobsadzone. Jedynie podczas słoty, mokrego śniegu itp. można skrzydła obstawić na długość strzału śrutowego.

W lesie dla ochrony zajęcy (przede wszystkim samic) zaleca się przerwać miot 100 do 200 metrów przed linią myśliwych (w zależności od pogody). Im powietrze mroźniejsze, tym wcześniej przerwać należy nagonkę, która schodzi na linie. Polując w ten sposób, oszczędza się znaczną ilość samic, które jako mniej ruchliwe, później ruszają z kotlin, a tym samym przez przerwanie nagonki nie bywają w ogóle ruszane.

Należy jeszcze wspmnieć o prawidłowym określaniu płci u zajęcy.

Często bowiem zachodzą omyłki, gdyż organa płciowe u samca i samicy na pierwszy rzut oka są bardzo podobne do siebie, a mniej wprawny myśliwy określi każdego zająca zazwyczaj jako samca. Najłatwiej określić płeć bezpośrednio po ubiciu zająca, kiedy jeszcze jest „ciepły". Rozchyla się tylne skoki i nadusza organ płciowy w kierunku do przednich skoków. Wychodzi wówczas prącie (pennis) o długości 0,5 do 0,8 cm. U samicy wychodzi łechtaczka (clitoris) podobna do prącia z tą jednak różnicą, że we formie jest wyoblona tworząc w przekroju literę „u". Zbadanie płci na podstawie zaistnienia jąder jest bardzo wątpliwe. Bowiem jądra u samca do czasu parkotów są przyschnięte i zupełnie niewidoczne. Dopiero w chwili parkotów jądra wychodzą i są widoczne.

Na koniec artykułu o szaraku pragnę zwrócić jeszcze uwagę na to, że w hodowli zajęcy nie należy również zapominać o matecznikach zajęczych. Często zaleca się stosowanie w lesie tzw. szachownic jako mateczników.

W teorii szachownice te, jako oddziały ochronne, byłyby idealne gdyby nie trudności zastosowania ich w terenie.

Prowadzenie nagonki przy systemie „szachownic" jest bardzo utrudnione i wymaga wielkiej sprawności. Lepiej jest nie opolowywać co roku ⅓ części łowiska według stałego systemu zmiany i kolejności. W ten sposób jedna trzecia część rok rocznie nie zostaje opolowana, tworząc matecznik. Technicznie łatwiej przeprowadzić to, tak co do wyboru miejsca jak również urządzenia polowania.

Powyższymi uwagami nie wyczerpałem całokształtu zagadnienia hodowli zajęcy. Pragnąłem tylko w głównych zarysach omówić najważniejsze racjonalne prawidła w stosowaniu poszczególnych systemów polowań na szaraki.

Dr inż. Leon Ossowski

JESIEŃ – JELENIE

(Felieton myśliwsko- przyrodniczy)

O przydrożne drzewa, krzewy i chwasty polne czepiają się długie nici jedwabistej pajęczyny — z dnia na dzień na polach ciszej i bezludniej — ścierniska podorane, pola świeżo obsiane, a ranne szrony cudnie ubarwiają listki drzew i krzaków. Ptactwo wędrowne po części pociągnęło już starodawnym szlakiem daleko ku południowi, częściowo zbiera się jeszcze i obraduje, kiedy to czas polecieć za śladem straży przednich — a dla myśliwego najmilsza nastała pora. Wolno polować prawie że na wszystkie gatunki zwierzyny. Myśliwego wysokich łowów jednak nie bardzo nęci ptactwo wodne i błotne na przelotach, nie tyle myśli o rekordowych rezultatach łowów kurzych na Kujawach, w Ostrowskim i Kaliskim, nie nęci go również polowanie na drapieżniki skrzydlate z puchaczem podczas ciągów jesiennych.

Myśli jego nastawione są w kierunku ukoronowania łowów wielkich — łowów na jelenia — króla polskiej kniei. W chwilach trosk i starań codziennych, tylko rozważania o przyszłych łowach podczas rykowiska potentata kniei rozpro-

szyć mogą koszmarne myśli, a w snach niespokojnych przesuwają się jak w kalejdoskopie dzieje łowów lat ubiegłych na przemian z myślami o przyszłych trofeach wspaniałych czternastaków, mocnych dziesiątaków koronnych, celnych strzałach, żmudnych podchodach, pudłach i trudnej, ale sukcesem uwieńczonej pracy za postrzałkiem.



Fot. E. Kossecki

Wyzwanie

A myśli te i sny o łowach są tym silniejsze i częstsze, gdyż każde polowanie posiada swoisty czar. Są łowy, które upajają nas bezmiernym spokojem wielkich luster wód i przepastnych puszcz, których poszum ma w jednostajności odgłosów coś z nerwy kojącego szumu morza. Są polowania dające emocje strzeleckie, radości bardziej sportowe aniżeli myśliwskie, są wreszcie łowy, które duszą naszą wstrząsają do najtajniejszych jej głębi, dając najwyższe podniety myśliwskie — są to łowy na króla naszej kniei — jelenia — podczas jego godów miłosnych — rykowiska, kiedy zew miłosny potężny w swej grozie każe myśliwemu odczuć pełnią zmysłów zjawiska w dzikiej puszczy.

W odróżnieniu od sarn, które lubią laski, przeplatane łączkami i polami, jeleń wybiera sobie na stałą ostoję głęboką knieję, gdzie bezpiecznie może przebywać. Tu łania wychowuje swe potomstwo i wyprowadza je na żer jedynie pod osłoną nocy. Długo przed wyjściem całej chmary na żer na pobliskie pola i łączki wychodzi tzw. licówka [1] lub przodownica, czujnie wietrząc i badając, czy bezpiecznie jest wyjść z ukrycia. I dopiero kiedy przekonała się, że nie grozi chmarze niebezpieczeństwo, z gąszczów wysuwać się zaczynają jak widma, sztuka za sztuką. A rano, kiedy tylko mgła i opary zaczynają się wznosić, kiedy brzask ledwo zaczyna przedzierać ciemność nocy, licówka już daje znak do odwrotu i cała chmara posłusznie posuwa się ku ścianie lasu. Naprzód licówka, za nią jej ciele tegoroczne, za nią młódka, później nieco w nieładzie stare łanie i cielęta oraz słabsze rogale, których stare byki u siebie nie tolerują, a przyjęły jak gdyby z litości łanie; wszak rogale te nie wyrosły jeszcze z lat „cielęcych“, a tym samym podczas godów nie stanowią obiektu pożądania.

Z innego końca pola posuwa się do lasu druga chmara jeleni — same rogate i to nawet stosunkowo mocne. Są to jelenie łowne, poczynając od dziesiątaka. Dziś trzymają się jeszcze razem, gdyż gody nie rozpoczęły się; skoro natomiast zacznie się czas rykowiska, obecna harmonijna zgoda ustąpi waśniom w zazdrosnej walce o prymat wśród haremu łań.

Widzieliśmy więc cielęta, łanie, rogale słabe i łowne. A gdzie zostały jelenie kapitalne, tak pożądane przez myśliwych? Czyżby ich nie było? Czyżby obrały sobie inne ostoje? Nie! Jeleń kapitalny w czasie przed rykowiskiem, w czasie tzw. krasy jest bardzo tajemniczy. Wytarł już wieńce, pokarmu w gąszczach jest wbród — spokojnie, wygodnie i bezpiecznie! Dopiero, kiedy budzić zaczyna się w jeleniu odzew przyrody, kiedy żywiej i silniej zaczyna krążyć krew w jego żyłach, dziwny jakiś niepokój ogarnia króla kniei. Niespokojnie wędruje po kniei, szukając przygód miłosnych. — Tu przeciągnęła chmara łań! — Jeleń chciwie wchłania w chrapy drażniącą woń, obiecującą mu przyszłe rozkosze miłosne: wtem gniewnie stęknął. Spostrzegł bowiem pośród śladów chmarki odciski racic byka — rywala — władcę stadka. Przyspiesza chód, niemal sadzi w susach — zapałał zemstą i chęcią odwetu. A niedaleko miejsca, które wybrała sobie chmara na widowisko dzisiejszych godów, zasiadł myśliwy na wysokiej ambonie, już długo przed brzaskiem. Najmniejszy ruch nie zdradza jego obecności; siedzi jak posąg. Haliznę przed amboną zamykają na widnokręgu ciemne ściany starodrzewia. Wierzchołki drzew powoli zaczynają żarzyć się w oparach, podczas gdy w głębiach boru tumany mgły wloką się jeszcze, powoli opadając i wilgotną pokrywą otulają krzewy leśne, mchy i łąki w dolinkach pomiędzy jarami.

Nagle zabrzmiał potężny ryk jelenia. To jeleń, kapitalny czternastak, rzucił niewidzialnemu dotychczas wrogowi wyzwanie do boju. Ryk powtarza się, a z głębin leśnych odpowiada echo, a razem z echem gniewna odpowiedź rywala — pana chmary. Wyzwanie zostało przyjęte. Ryk następuje po ryku. Coraz silniej, coraz gwałtowniej, coraz bliżej. Jeleń miejscowy trzyma się swego stada, a rywal — przybysz — naciera coraz chyżej. Już są blisko siebie i niedaleko ambony, na której ukrył się myśliwy. Słychać wyraźnie wycieranie wieńców o gałęzie i gniewne pomruki i ryki rywali. Nie widać jednak nic; gę-

[1] Licowka od „lico“ stada — przód stada. Przyp. Red.

ste opary zakrywają haliznę. Wtem słychać jeszcze raz potężny ryk przybysza — tego było już nadto miejscowemu władcy. W szybkich susach sadzi ku przeciwnikowi, który, nie spodziewając



Fot. A. M. Weigt
Czternastak upolowany w Morawinie, p. Kalisz

się tak nagłego ataku, odwraca się i zamierza uciekać. W ostatniej jednak chwili przypomina sobie, że to on rzucił wyzwanie do walki — więc też staje do niej. Wtem wschodzące słońce rozdziera gęste zasłony mgły, a oczom naszego myśliwego przedstawia się wspaniały widok. Obaj rywale, szeroko rozstawiwszy badyle, z głowami pochylonymi ku przodowi, z poplątanymi wieńcami, mocują się i prą naprzód, a pozycje ich zmieniają się błyskawicznie. Każdy stara się wykorzystać nieostrożny moment, by móc uderzyć w słabiznę przeciwnika. Obaj walczący zajęci są sobą tak, że nie baczą na otoczenie. Nie widzą myśliwego na ambonie, nie widzą również chmary łań, wyczekującej jak na widowni teatralnej, zakończenia pojedynku, nie mogą również zwracać uwagi na młodego, acz rosłego jelonka — ósmaka, który z daleka przygląda się walce, jak gdyby patrząc się na bój, chciał się wprawić do walk, które go czekają, skoro będzie mógł pretendować do prymatu nad chmarą. Czemuż jednak teraz miałby marnować czas daremnie? Groźni rywale są zajęci walką — dlaczegoż więc on — ten trzeci — nie miałby skorzystać z nadarzającej się okazji uszczknięcia nieco skradzionej miłości? Ostrożnie wysuwa się naprzód, lekko i delikatnie odbija od stadka swą wybrankę, by oddalić się z nią jak najspieszniej od miejsca boju. I tylko mgłą przytłumiony zew miłosny ósmaka, wibrujący pomiędzy odgłosem cichej i pierwszej miłości, a nieśmiałym wyzwaniem do boju, mówiły chmarze o pierwszym zwycięstwie młodzika nad łanią. Głos ten usłyszeli również dwaj zapaśnicy — jelenie znieruchomiały — stoją naprzeciw siebie — napozór spokojnie — wieniec przy wieńcu jak grupa wykuta z marmuru. Na moment ten czekał myśliwy. Krzyż lunety zatapia się w komorze — huk strzału wstrząsa powietrzem, a jeleń — przybysz — czternastak — trafiony w komorę, podniósł się na moment na tylnych badylach niczem rakieta, by za chwilę paść na ziemię jak kłoda.

Łanie w popłochu skryły się w gąszczach, a zwycięzca na chwilę znieruchomiał, wszak nie spodziewał się tak szybkiego zakończenia walki, a w pierwszej chwili zdawało się mu, że to on powalił przeciwnika.

Oglądnął się dumnie za swym haremem, by potężnym rykiem obwieścić im swe zwycięstwo. Nie ma ich! W mniemaniu, że to ów młodzik odpędził chmarę, szybko rusza w gąszcze za nimi — i to go uchroniło od niechybnej śmierci.

Wraca nasz myśliwy jak tryumfator ze złomem dębiny przy kapeluszu, kroczy zadowolony, że trud jego uwieńczony został sukcesem, a z drugiej strony, że nie uległ pokusie strzelenia do drugiej jeszcze sztuki. Dosyć jednego tryumfu!

A wieczorem, wybrawszy miejsce na ścianie gabinetu i zawiesiwszy na niej nową zdobycz, rozpamiętuje dzieje swych dawnych łowów, wraca myślą do minionych przygód łowieckich, do łowów zimowych na grubego zwierza w białych roziskrzonych w słońcu kniejach, do poranków wiosennych w puszczy, spędzonych pod pieśnią głuszcza, wieczorów w olchowych gajach na szlakach tokujących słonek, myśli o rozkoszach myśliwskich upalnego lata, a przede wszystkim o porankach złotej jesieni — porankach największych upojeń łowieckich, jak myśliwski poranek dnia dzisiejszego. *Dr L. Brochwicz.*



Szesnastak upolowany w Przymuszewie
(długość wieńca: l. 101 cm, pr. 98 cm; róże: l. 23 cm, pr. 24 cm; waga 6,5 kg; rozpiętość wewnętrzna 70 cm, rozpiętość zewnętrzna 100 cm)

Rykowisko

Wrzosł zakwitł!
Kobierzec godowy
w liliowych płatkach
rozsnuł się po borze
pośród zielonych mchów — jak morze
ametystowej lawy.

Poważnie zamilkł bór sosnowy.
I zda się opustoszał jak w oczekiwaniu,
kiedy król puszczy niby grzmot zawoła:
W miłości taniec!
Do mnie rywale!
Do koła!

Na płonących ogniami wieczornego słońca
szmaragdowych zagajach i liliowych wrzosach
rozsnuły się przecudne, srebrne pajęczyny.

Dzień wpełzał niechętnie w tajemne świerczyny.
Mroku cienie spływały po sosnach — kolosach.
I nie mając początku ginęły bez końca. —

Słońce już zaszło!
W dali gorze jeszcze rżysko.
Jakieś stęknięcie słyszę głuche.
Dzisiaj rykowisko!

Auuu —, jak grzmot ozwały się ryki
krótkie wysokie, zapalnej młodzieży . . .
Ueee —, przeciągłym basem stare byki
na bój wzywają szermierzy.
I przed ich głuchym, mocarnym wyzwaniem
ucicha młodzież.
Tylko zew rywali
na przemian się powtarzał i ginął w oddali. —

Dwa najbliższe ku sobie zbliżały się z rykiem
i po chwili się zwarły.
Słychać tylko było
krótkie stękanie i jakby patykiem
w płot uderzał,
wieńcami tak bodły się wzajem.
Jak turkot wozu tak w lesie dudniło.

Po chwili zabrzmiał znowu zwycięzcy okrzykiem
ten, co utrzymał pole i płci pięknej rój.
Lecz nie cieszył się jeszcze rozkoszy swej rajem,
tylko ciągle wyzywał rywali na bój . . .

Stanisław Woszczyński

PRAJELENIE

Trudno nieraz wyśledzić przodków różnych rodzin zwierzęcych — tym więcej, gdy zachodzą luki w ich genealogii. Pomaga nam tu niezmiernie znajomość paleontologii, która na podstawie wykopalisk potrafi zbadać te szczegóły, których zoologia nie zna.



Syndyoceras

Gdybyśmy chcieli zobaczyć szczątki z praprzodków rodziny jeleniowatych, musielibyśmy zajrzeć do muzeów amerykańskich, bo przecież w Północnej Ameryce pradziadów jelenia należy szukać. Były to Camelomeryx i Syndyoceras. I o dziwo! Pierwszy nie posiadał zupełnie rogów, drugi natomiast miał ich aż cztery. Były to jednak zwykłe narostki, pokryte skórą (jak u żyrafy), jedna para umieszczona była na końcach czołowych, pozostałe na nosowych. Czaszkę Syndyocerasa wykopano w Północnej Ameryce w Nebrasce, z pokładów górno-mioceńskich[1]. Ponieważ była to czaszka samca, więc nie wiadomo było, czy i samica nosiła rogi.

Trudność w ogólnym usystematyzowaniu „jeleniowatych“ polega jeszcze na tym, że w wykopaliskach znajdowano same rogi i zęby, te zaś części zwierzęce w anatomii porównawczej nie odgrywają tak znacznej roli.

W grupie jeleniowatych rozróżnić musielibyśmy jeszcze podrodzinę Cervulinae (Mundżaki), wymarłą rodzinę Pliocervinae, no i wreszcie rorodzinę Cervinae (jelenie właściwe). Z grupy tej wyłoniono już sarny, ale tak samo wyłonić by jeszcze trzeba łosie, daniele itd.

Właściwe jelenie odgrywają już od górnego pliocenu główną rolę, na czele z pięknym Polcladus Sedgwicki, który posiadał koronę licznie rozgałęzioną. Wspaniałą czaszkę jego wykopano w górnym pliocenie des Val d'Arno w górnych Włoszech. Przedstawiciela gatunku Elaphus znamy również z górnego pliocenu Europy, a był nim Elaphus tetracerus Boyd, wykopany w Auvergne. Przy tej okazji wspomnieć należy i o renie, który pojawia się w Europie podczas pleistocenu i

[1] Historię ziemi dzielimy na cztery wielkie ery. (Era archaiczna, paleozoiczna, mezozoiczna, kenozoiczna.) Ery dzielą się znowu na formacje, a te na piętra. Tak więc ostatnia era składała się z dwóch formacji: trzeciorzędowej i czwartorzędowej. Wiek dwóch ostatnich oblicza się na circa 55—65 miljonów lat. Trzeciorzęd miał kilka pięter: paleocen, eocen, oligocen, miocen i pliocen.



Czaszka łosia wykopanego koło Pobiedzisk (Wlkp.)

który jest jednym z głównych zwierząt łownych ówczesnego człowieka. Z łosi żyły naonczas dwa olbrzymy, łoś stepowy *(Alces latifrons)* podczas pleistocenu w Europie i różniący się od niego łoś leśny *(Alces palmatus)*, dziś jeszcze żyjący.

Wspaniałą czaszkę tego ostatniego posiada Oddział Przyrodniczy Muzeum Wielkopolskiego w Poznaniu. Wykopano ją w miejscowości Łukaszewko pod Trzemesznem, w głębokości ok. 4 m i to podczas przeprowadzania w terenie bagnistym kanału odwadniającego. Musiało to być piękne zwierzę, bo łopaty jego posiadają aż 30 odnóg a rozpiętość łopat sięga 162 cm. Zbliżonym do tego okazu był wykopany w roku 1861 w Krześlicach koło Pobiedzisk łoś, którego rozpiętość łopat sięgała 142,5 cm.[2]

Łosie o tak wspaniałych łopatach zamieszkują jeszcze dziś Kanadę.

Drugą piękną, okazałą czaszką w zbiorach muzealnych, jest czaszka jelenia olbrzymiego (Cervus megaceros hibernicus Ow.), wykopana w Irlandii pod Dublinem. Był to faktycznie olbrzym, bo rozpiętość jego łopat wynosi 333 cm, długość jednej łopaty 202 cm, a odnóg łopat jest aż 18.

Do gatunku Megaceros euryceros Aldr. należy czaszka a raczej jej fragment znaleziony w Baryczu nad Sanem w Małopolsce. Niestety czaszka ta ma łopaty odłamane. Jest ona jednak z innego punktu widzenia ciekawym znaleziskiem, bo mówi nam o powodach śmierci jelenia. Opisał to szczegółowo prof. dr Niezabitowski w pracy swej „Czaszka jelenia olbrzymiego z nieprawidłowymi rogami z Barycza nad Sanem“ (Tow. Przyj. Nauk. Poznań, seria B. t. VII, z. 3, 1935 r.). Na czaszce tej widzimy ślady nadłamania prawego rogu i uszkodzenia tyłu czaszki. Pierwszy fragment mówi nam o stoczeniu walki jelenia z jakimś niedźwiedziem lub lwem, zaś wyrwany tył czaszki stwierdza, że jeleń w późniejszej walce uległ lwu.

2 Prof. E. Niezabitowski: „Dawny łoś Wielkopolski“ (odb. z roczn. nauk rolniczych T. XXI).

Jelenie olbrzymie są ściśle zakreślonym gatunkiem, żyjącym podczas pleistocenu. Żyły razem ze słoniem *(Elephas trogontrerii Pohl.)*, na otwartych przestrzeniach o charakterze stepowym. Żyło ich kilka gatunków. Trudno odróżnić je jednak w braku całych szkieletów. Z rogów natomiast wyczytać możemy sposób ich rozrostu. Rogi stają się z czasem większe, masywniejsze, koniec zaś zamienia się w szuflę, a liczba odnóg wzrasta z wiekiem. Z młodszych jeleni olbrzymów, tzw. irlandzko-torfowych, zachowało się więcej kompletnych szkieletów.

Zastanawia nas szybki zanik tego gatunku w pleistocenie. Na to odpowiedzieć mógłby paleobiolog różnie: że może były jakieś kataklizmy, czy też, że szybki naonczas rozwój zwierząt drapieżnych wymordował doszczętnie te zwierzęta i . . . szereg innych. O jednym jednak zapominać nam nie wolno, o tzw. ortogenezie. Ona stwierdza, że zwierzę udoskonala się z powodu działania warunków zmiennych środowiska na największe wyspecjalizowanie w danym kierunku, a gdy zwierzę do przeolbrzymienia tych kształtów dojdzie, zaczyna się samo degenerować i z czasem powoduje wymarcie całej rodziny. To też Megaceros rozwinął swoją specjalizację w wyolbrzymieniu swoich rogów. I nie mówiąc już o późniejszej degeneracji, rogi te same nasuwają nam myśl, że musiały być dla zwierzęcia raczej balastem jak środkiem obrony. A wtedy i łatwo uporał się z nim każdy drapieżca.

Takie to piękne stwory — jelenie żyły wtedy, gdy jeszcze nie były narażone na modernistyczną broń człowieka!

Dr Wiesław Rakowski
Kustosz Muzeum Wielkopolskiego

SKRZEKOTY

(Szkic historyczno-myśliwski.)

Wczesną wiosną z zamku cieszyńskiego wyjeżdżała kłusem grupa jeźdźców, dążąc w stronę dzisiejszej Wisły. W dolinach czuć było już tchnienie budzącej się natury, lecz wśród bezkresnych borów, okrywających zwały Beskidów, leżały jeszcze śniegi, przebłyskując białymi językami. Niedługo już miały zniknąć w radosnych potokach słońca, teraz jeszcze — jak gdyby w pożegnalnych uśmiechach — szczerzyły swe śnieżne zęby ku nizinom...

Przepiękna przyroda tchnęła pierwotnej puszczy ciszą i dostojną powagą, która widać udzielała się w milczeniu postępującej drużynie. Wyróżniał się w niej mąż okazały, o energicznym wyrazie twarzy i pańskiej postawie. W tej chwili nie bawiło go piękno otaczającego boru, siwe oczy patrzyły nie widząc, a myśli jego błądziły gdzieś daleko... W rytm ruchu pochylał głowę o lekko już oszronionych skroniach i trwał pogrążony w głębokiej zadumie. Gdzież, jak nie w ciszy puszczy jest miejsce na kontemplacyjne skupienie się i spojrzenie w siebie?... Tu więc na łonie pierwotnej przyrody śląskiej analizował swą burzliwą młodość i przejścia... i pierwszy raz spostrzegł wyraźnie — że zmarnował życie!...

Był to książe lignicki Henryk XI, z linii śląskiej potomek królewskiej dynastii Piastów...

Znienacka przemknął drogę krwiożerczy rosomak, zaskoczony koń się wzdrygnął a pan obudził z zadumy.

— Zbrosław — rzekł książe do giermka — czas już, — uderz w róg!

* * *

A miał się nad czym głowić ten zupełnie zniemczały i niemal w całej Europie znany — jakby to dziś można określić — kombinator!... W dziedzicznej Lignicy nie miał wielce już czego szukać, gdyż z powodu rozrzutności i zdzierstw, gruntownie przez poddanych był znienawidzony. Wszystkie śmiałe i awanturnicze pomysły, które wiodły go po różnych krajach, nie dały mu wymarzonego znaczenia i potęgi, a podupadającemu rodowi nie przyniosły splendoru... Przed paru laty ośmieszył się w Londynie zabiegami o rękę królowej angielskiej Elżbiety... Syn Piasta i Brunhildy znał jednak dynastyczną rangę najstarszego królewskiego rodu, do którego należał! Teraz znów zawiódł go srodze fantastyczny pomysł, świadczący o jego niepospolitym tupecie i śmiałości, nieliczącej się z rzeczywistością... Oto, w czasie drugiej elekcji zjawia się w Warszawie i — zgłasza swe pretensje do tronu polskiego. Kandydatura ta nie wywołała najmniejszego echa i napotkała na sromotną dlań obojętność sejmu i szlachty, której ani w myśli nie było mieć na tronie Jagiellonów — ...skrzekota!

Po tym dotkliwym ciosie ambitny książe postanowił zaszyć się w bory, by wytchnąć i rozsnuć nową kanwę świeżych pomysłów, na których mu nigdy nie zbywało. Wracając przeto właśnie z Warszawy na Śląsk, zboczył w gościnę do krewniaka, księcia cieszyńskiego, by w polowaniu, którego był namiętnym miłośnikiem, utopić targający mu duszę żal do ludzi i niewdzięcznego świata...

* * *

Odpowiadający na dane hasło odzew rogu, zwiastował bliskość stanicy książęcej, w której Henryk XI, wyjechawszy z grodu cieszyńskiego, zamyślił spędzić dłuższy czas na wypoczynku, rozmyślaniach i łowach. Wyczerpawszy wiele sił w pogoni i walce za zwierzyną grubą, książę z usposobienia marzyciel i fantasta, spędzał wiele godzin na samotnym błąkaniu się po lesie i bezkrwawym śledzeniu życia i ostoi zwierzyny. Jak świadczą pozostawione przezeń zapiski, Henryk XI już podówczas miał wiele cech rasowego myśliwego, odpowiadających niemal dzisiejszym pojęciom prawego łowiectwa, a ponadto przejawiał dużą znajomość tak zwierzyny jak i przyrody.

Raz o świcie książe wsłuchiwał się na leśnym wrzosowisku w rozdygotany namiętnym żarem bulgot toków cietrzewich. Nagle spostrzegł ze swego schronu, że wśród kogutów buszuje niespokojnie ptak jakiś, którego bystrym swym okiem znawcy nie mógł zgoła rozpoznać. Ptak postawę miał władczą i poczynał sobie niezwykle butnie. Zazdrośnie uganiał za cieciorkami, choć samczych funkcyj nie wykonywał. Pełen fantazji i werwy, w postawie głuszcza przypominającej, dudnił donośnie w sposób jednak różniący się od pieśni głuszca lub czuszyku cietrzewia. Promienie wschodzącego słońca pierś jego mieniły stalowym fioletem, a popielata szyja przechodziła w ton granatu. Rdzawe upierzenie grzbietu zlewało się z czarnym, jaśniejszymi plamami upstrzonym wachlarzem, w którym lekko lirowate pióra czyniły go podobnym do cietrzewia, lubo wykluczała to wielkość ptaka, jego postawa i zachowanie. Cietrzewie, mniejsze i słabsze od niego, usuwały mu się z drogi i znikały z tokowiska. Wkrótce pozostał sam na wzgórku, błyskając groźnie czarnym dziobem i z wyciągniętą jak struna szyją, z rozpostartym wachlarzem i zamiatając skrzydłami rozpuszczonymi, niezmiernie ważny i godny, słał w przestrzeń swą wyzywającą, choć chropawą i bezpłodną pieśń!...

Zadziwiony i zaskoczony nieznanym zjawiskiem Henryk XI sięgnął po kuszę. Śmignął śmiercionośny pocisk. Syn głuszycy i cietrzewia zachwiał się i opuścił loty...

* * *

Opisane spotkanie księcia śląskiego ze skrzekotem w Wiśle nie pozostało bez echa. W miejscu tego zdarzenia wybudowano gospodę i dla upamiętnienia faktu nazwano ją: „Gasthaus zum Rackelhahn".* Obca ta nazwa miejscowemu ludowi nie była zrozumiała, niemniej pod tym utartym mianem istniała gospoda przez wiele dziesiąt-

---

* Przyp. Red. „Oberża pod Skrzekotem".

ków lat, aż rażona piorunem, spłonęła doszczętnie kilkadziesiąt lat przed wielką wojną. I choć nie pozostało po niej ani śladu, starzy ludzie w Wiśle pamiętają „Gasthaus zum Rackelhahn" i snują o Piastach i o niej legendę...

Dla nauki i łowiectwa podane fakty stanowią dokument i świadczą, że istnienie w łowiskach skrzekotów jest znane od wieków. Nie musi go więc powodować niewłaściwa, łowiecka gospodarka człowieka, nieumiarkowany odstrzał czy inna niekorzystna ingerencja w stosunki przyrodnicze, gdyż skrzekoty pojawiały się sporadycznie w całkiem naturalnych warunkach, nawet pierwotnych. Są one z racji swej bezpłodności i hodowlanej bezwartości, typami o wybitnych cechach letalnych, lecz jako samorzutny wytwór przyrody tam, gdzie się pojawiają, stanowią niepożądany, niemniej ciekawy ornament danego zespołu faunistycznego.

Sny Henryka XI o potędze nie urzeczywistniły się... Bezwzględność wobec poddanych zaprowadziła go przed sąd króla czeskiego, a nawet do więzienia, z którego uciekł do Polski, bo mu tu było najbliżej — i marnie w 1587 roku żywot zakończył w Krakowie. Nie lepiej działo się w pozostałych liniach Piastowiczów śląskich. Wyparli się swego posłannictwa dziejowego, zatracili poczucie narodowe — i Polska dawno już stała im się obojętną. Sprzyjały temu ustawiczne koligacje z rodami niemieckimi, a ciągłe frymarki ziemiami, walki o schedy własne i postronne, nieszczęsne i niezręczne poczynania, coraz to bardziej pomniejszały ich stan posiadania, znaczenie i wpływy. Wreszcie — wbrew temu, co tu i ówdzie się jeszcze oczywiście błędnie mówi — w sto lat potem Piastowie śląscy skończyli się niechlubnie na małym księstewku, gdyż ta prastara, takim sentymentem w Polsce otoczona, i ze wszystkich panujących w Europie domów najstarsza dynastia królewska ostatecznie wygasła w 1675 roku, w chwili śmierci ostatniego Piasta śląskiego, małoletniego Jerzego Wilhelma (!!), księcia na Lignicy i Brzegu.

Bo już z Bożego przeznaczenia — smutny jest los skrzekotów!...

Dr Jan Podgórny

SZTUCEREK CAL. 22

W ostatnich latach coraz częściej mówi się i pisze o tzw. flowerze, jako o broni myśliwskiej. W czasopismach łowieckich, w kolumnie wypadków kłusownictwa, czytamy bardzo wiele o zabijaniu bażantów, zajęcy a nawet sarn przez posiadaczy takiej właśnie broni, tym groźniejszej dla zwierzostanów, że odgłos jej strzału daje się usłyszeć zaledwie na kilkadziesiąt kroków, a tym samym kłusownik nie zdradza swej obecności w kniei, przy tym broni ogromnie rozpowszechnionej i dzięki lekkiej wadze i małym rozmiarom — łatwej do przenoszenia oraz ukrywania pod kurtką, czy w nogawce spodni. W ogłoszeniach niektórych składów broni spotykają się również pochwały wymienionych w tytule sztucerków, jako uniwersalnych na toki, kaczki i jarząbki.

W artykule niniejszym pragnę w krótkości omówić zalety i wady cal. 22, z którym polowałem na różne rodzaje drobnej zwierzyny i miałem możność zaznajomienia się w terenie z działaniem tego typu broni kulowej, dla której wielu z nas żywi dotąd dziwny sentyment, datujący się z czasów wczesnej młodości, kiedy to z flowerem w ręku przebiegało się młodzieńczą stopą parki i lasy, w pogoni za wroną, sójką, czy pierwszą w życiu prawdziwą zwierzyną — kwiczołem.

Kiedyś przed laty, bawiąc wiosną w pięknym majątku, którego tereny obfitowały we wszelką zwierzynę, dzięki wypadkowi ze strzelbą — zostałem pozbawiony broni i musiałem zadowolić się wyłącznie sztucerkiem cal. 22, z którym przebrnąłem szczęśliwie przez cały urozmaicony i długi sezon łowów na kaczory, cietrzewie, bataliony oraz znaną litanię nazw skrzydlatych i ssących drapieżników. Wówczas to wyspecjalizowałem się w używaniu floweru do łowów i nabrałem w tej dziedzinie potrzebnego doświadczenia.

W owych czasach przeważnie spotykały się flowery pojedyncze dwóch fabryk: belgijskie „F. N". (Fabrique Nationale d'Arme de Guerre) i niemieckie „Geco". Flowery te zresztą i dziś spotykają się najliczniej. Z automatów przodowały Winchestery. Sam strzelałem z karabinka „Geco", który oddał mi kilkakrotnie duże usługi. Przy polowaniach używałem amunicji wyłącznie dwóch rodzajów, a mianowicie naboju średniego (short) i długiego (long). Pierwszy razi skutecznie zwierzynę na odległość do 50 m, drugi do 80 m; strzały na dalszą odległość uważać trzeba za wątpliwe, choć niejednokrotnie udaje się zabić kaczkę lub królika i na 100 m. Karabinki, wyrabiane obecnie przez Państwową Wytwórnię Broni w Radomiu, są bardzo precyzyjnie wykonane i dzięki długiej lufie, biją jeszcze ostrzej. Doskonałe są zwłaszcza do ćwiczeń strzeleckich.



Fot. P. Kunst

Warchlaki

Reasumując dziś swe doświadczenia w terenie ze sztucerkiem cal. 22 zaznaczyć tutaj muszę, iż broń ta, choćby była najlepszej marki — nie odpowiada jednak wymaganiom myśliwskim i za broń do polowania uważaną być nie może, gdyż ołowiany pocisk posiadając zbyt słabą szybkość początkową — nie zabija odrazu i w 60% wypadków naraża łowca na utratę postrzelonej sztuki. To jest jej bodaj jedyną, ale niezaprzeczoną wadą.

Polowałem ze sztucerkiem „Geco" na cietrzewie zimą z podjazdu. Po miękkim, puszystym śniegu podjeżdżało się saniami do szeroko rozsiadłego na brzozach stada czarnych kogutów. Broń biła idealnie i oparłszy lufę karabinka na gałęzi można było dać kilka strzałów raz po raz, nie płosząc wcale ptaków. Trafiony cietrzew zrywa się normalnie do lotu, ciągnie nad lasem sto i więcej metrów, aż nagle załamuje się w powietrzu i jak kula spada w białą zaspę, gdzie go zazwyczaj niesposób odnaleźć, zwłaszcza o wieczornym zmroku, szybko w zimie nastającym. Dobre rezultaty można tylko osięgnąć w takim wypadku, gdy zwierzyna obsiadła drzewa, rosnące w środku rozległej łąki czy polany, gdzie spadający cietrzew jest zdala widoczny i łatwy do odnalezienia.

Podobnie rzecz ma się i na toku cietrzewim. Tam, gdzie koguty tokują na odkrytym trawiastym bagnisku — karabinek może się przyczynić do znacznego zwiększenia ilości trofeów, dosięgając sztuki grające poza zasięgiem strzału śrutowego. Wszędzie indziej natomiast najlepiej nawet trafiony cietrzew ma jeszcze dosyć siły, by dopaść najbliższych gąszczów i zniknąć w nich na zawsze. To też na terenach zarosłych — sztucerka tego używać nigdy nie należy.

Przy polowaniu na kaczki osiągałem rezultaty jeszcze gorsze. Wprawdzie karabinki małokalibrowe biją bardzo celnie, tym nie mniej jednak trafienie kulą kaczki płynącej, lub kołyszącej się na fali jest rzeczą ogromnie trudną i tylko wyjątkowo można zdobyć jakieś trofeum. Słabiej ugodzona pociskiem kaczka natychmiast nurkuje i oczywiście przepada bezpowrotnie. Nie radzę więc nikomu zbyt ufać sztucerkowi przy tego rodzaju polowaniach.

Doskonałe natomiast wyniki miałem przy polowaniu ze sztucerkiem we wrześniu na wabione jarząbki. Wczesnym rankiem, lub o zachodzie siada się przy drzewie w pobliżu błota zamieszkałego przez tę zwierzynę i zaczyna wabić. Po paru udanych trelach słychać gdzieś w oddali ciche, przytłumione furknięcie i jarząbek, jak szara piłka, przewija się wśród drzew — sadowiąc się na gałęzi. Kiedy indziej znowu doleci do naszych uszu subtelny szelest na ziemi, wśród opadłych liści. To zaciekawiony ptak cieknie piechotą, by za chwilę ukazać się w luce zarośli, czy gmatwaninie przyziemnych krzaków. Cichy strzał flowerowego ładunku rozpływa się wśród drzew, nie mącąc dostojnej ciszy jesiennej kniei i nie płosząc zwierzyny, która wkrótce po strzale znów reaguje na wab, to też polowanie takie jest nadzwyczaj miłe, a jarząbek stanowi zwierzynę, dla której pocisk cal 22 jest jakby stworzony. Używać należy amunicji typu średnego (short), który jest do uśmiercenia tego ptaka zupełnie wystarczający.

Polowanie na wabione jarząbki jest, moim zdaniem, jedynym rodzajem łowów, na których flower spełnia swe zadanie zupełnie zadawalająco i właśnie dzięki jarząbkowi uważany być może za broń myśliwską. Na inne gatunki zwierzyny broni tej używać nie zalecam, gdyż przyniesie z pewnością więcej kłopotów i rozczarowań, niż myśliwskiego zadowolenia.

W jakim świetle wobec tego znajdą się wspomniane na wstępie komunikaty pism łowieckich o wyczynach kłusowników, polujących nawet na sarny przy pomocy cal. 22 — może mnie ktoś zapytać? Odpowiedź będzie nieco paradoksalna. Komunikaty te są zupełnie prawdziwe i fakty ubicia z floweru zajęcy lub sarn istotnie mają miejsce dla przyczyn następujących.

Prawdziwy myśliwy poluje w celu doznania wrażeń i emocji łowieckich. Wartość skóry mniej go interesuje, a wartość mięsa częstokroć nie odgrywa prawie żadnej roli. To też na polowaniu strzela do paru sztuk i o ile te przepadną — wraca z pustymi rękami. Tymczasem kłusownik poluje właśnie dla skór albo mięsa, które jest mu potrzebne dla rodziny lub na sprzedaż; i dlatego nie zadowoli się strzałem do jednej sztuki, a kropi do każdej napotkanej na drodze zwłaszcza, że cichy odgłos strzału ułatwia mu zadanie. Aczkolwiek, jak już zaznaczyłem, flower nie odpowiada warunkom broni myśliwskiej — to jednak na tyle wyrzuconych pocisków, którykolwiek trafi na koniec w odpowiednie miejsce i zwierzę uśmierci. Tylko temu zatem przypisać należy, że właśnie kłusownik potrafi zastrzelić ze sztucerka sarnę, a prawdziwy myśliwy takiej sztuki nie dokona. A gdybyśmy nawet ujęli szkodnika — to przecież też się on nie przyzna, że strzelał do wielu sztuk, a będzie twierdził, że właśnie spotkał tylko tę jedną i ją upolował. Poza tym myśliwy poluje wyłącznie na rogacze i koguty bażancie lub cietrzewie, zaś kłusownik ubije również i kozę, bażantkę lub cieciorkę — zatem ma do strzału dwukrotnie więcej obiektów od prawidłowego łowca. Nic też dziwnego, że jego łupy flowerowe bywają zwykle dość liczne, a czasopisma myśliwskie trąbią coraz częściej na alarm.

Sztucerek cal. 22 jest dzięki swej precyzji strzału i taniości amunicji — idealną bronią tarczową, nie może jednak być bronią myśliwską. Mamy do dyspozycji mnóstwo systemów i kalibrów broni myśliwskiej naprawdę dobrej i wygodnej w użyciu. Nie szpikujmy zatem ołowianymi „pigułkami" flowerowymi biednych zajęcy, kaczek i cietrzewi, które zasłużyły chyba na poważniejsze ich traktowanie i solidniejszy nabój.

Leopold Pac-Pomarnacki

P. P. MYŚLIWI!

Przypominamy Szanownym Abonentom, że czas odnowić przedpłatę za IV kwartał 1938 r. *Administracja*

X POKAZ I KONKURS WYŻŁÓW DOWODNYCH W NIEDŹWIEDZIU

Garść uwag: — Menerom ku rozwadze!

Po raz pierwszy urządzono pokaz i konkurs wyżłów dowodnych na Pomorzu po prawym brzegu Wisły. Organizatorowie w zupełności zdawali sobie sprawę, że urządzenie tego konkursu napotka na znaczne trudności, choćby już z uwagi na nieznajomość szczegółów organizacyjnych, doborze materiału itp. To też Łowczy P. Z. Ł. na powiat Wąbrzeski p. Leszek Mieczkowski, u którego odbył się pokaz i konkurs nie mało miał trudności do pokonania. Z całą bezstronnością stwierdzić wypada, że organizacja pokazu i konkursu przemyślana była w każdym szczególe tak, że konkurs mógł się sprawnie odbyć.

Gorzej natomiast było z materiałem psów. Do pokazu stanęło 5 psów krótkowłosych i 4 psy szorstkowłose. Pokaz — pokazem; chodzi tu głównie o eksterier psa. Był więc i złoty medal, i inne. Ale sam konkurs — ? Pożal się Boże! I tu należy zwrócić uwagę menerom na pewne dość znaczne niedociągnięcia!

Istnieje klasa młodzieży i klasa otwarta. Do klasy młodzieży zalicza się zasadniczo pieski do pierwszego pola (ewtl. w trakcie pierwszego pola). Tymczasem menerzy, (nawiasem mówiąc ambitnie) wierząc w zalety swego psa, zgłaszają go do konkursu otwartego. Uda się, nie uda, potargować warto! A nuż! Szkodzą sobie zazwyczaj przez to, gdyż pies młody mimo najlepszych zdolności nie sprosta wymaganiom klasy otwartej. A więc — Panowie Menerzy! — ostrożnie z ambicją klas.

Ponadto winni pamiętać, że na konkurs przedstawia się psy już gotowe. Konkurs to nie lekcja układania, a psy, które nie mogą wykazać kwalifikacyj conajmniej dostatecznych (1) winni na konkursie nie stawać. Obniża to poziom konkursu i zaufanie do menera. A przecież przyjeżdża na konkurs sporo myśliwych, by nabyć psa. O ile chodzi o poszczególne prace konkursowe to bardzo szwankowała praca za farbą. Bodajże żaden pies nie doprowadził. (Castor — przypadkiem). Słaby był również aport zgubionego drapieżnika. Zawiodła praca wodna. Widocznie pieski, wychuchane, nie lubią zimna wrześniowego. Na to nie poradzę!Odskok do wody był wprawdzie głęboki. Ale co to dla wyżła.

Najbardziej szwankowała praca konkursowa ciętości. Jest ona zawsze słabą stroną konkursu wyżłów dowodnych. Obecnie jednak praca ta była najgorszą. Mały kociak gonił dużego psa — miast odwrotnie. (sic!).

Jeden z psów jedynie dławił bez zarzutu, drugi względnie dobrze, reszta zawiodła. Jeden z psów — miast kota osaczyć — wystawił go. Niezależnie od tego pies ten, wysoko podrasowany, będzie za dwa lata pierwszorzędnym psem użytkowym.

Pracy w polu nie było, gdyż konkurs przerwano (pierwszy raz w dziejach konkursów pomorskich) i to z uwagi na niedostateczne przygotowanie kandydatów.

Pogoda podczas konkursu była względna. Trochę kapuśniaczku, trochę wiatru, trochę słońca. Ale pies też nie zawsze pracuje w pogodę słoneczną.

Sędziowała Komisja Pomorska Międzyklubowego Komitetu Kynologicznego pod przewodnictwem Dr J. Łukowicza i Fl. Dabińskiego.

Na pokazie i konkursie obecni byli przedstawiciele Pomorskiego Urzędu Wojewódzkiego, Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu i Pomorskiej Izby Rolniczej. Należy przypuszczać, że niniejsze uwagi jak również przebieg i słaby wynik konkursu w Niedźwiedziu przyczynią się do tego, by menerzy stanęli do następnego konkursu z kandydatami przygotowanymi conajmniej do poziomu ostatnich 9 konkursów pomorskich.

Przy końcu niech mi wolno będzie w imieniu Pomorskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, Komitetu Sędziów i uczestników podziękować Państwu Mieczkowskim z Niedźwiedzia za użyczenie Radzie terenów i miejsca do przeprowadzenia pokazu i konkursu, a następnie dla posiedzenia Rady.

Darz Bór!
Dr inż. Leon Ossowski

Przyp. Red. Wyniki pokazu wyszczególnione są w dziale „Z życia Towarzystw i Kół".

WARUNKI WYKONANIA DOBREGO NABOJU

(Ciąg dalszy z nru 5)

5. Sposób ładowania. Do ładunków broni śrutowej należy stosować wyłącznie tylko prochy dla nich przeznaczone, gdyż stosowanie innego prochu może dać wynik zupełnie niewłaściwy.

Każdy gatunek prochu ma zbadaną najlepszą wagę ładunku prochowego, który należy użyć dla danego kalibru broni i pory roku. Wagi te są podane na opakowaniu.

Poniższa tabelka przedstawia nam granice wagi ładunków prochów nitrocelulozowych typu „Sokół", „Kuropatwa" i prochu czarnego P. W. P. w gramach:

Proch P. W. P.	Kal. 12	Kal. 16	Kal. 20
Nitrocelulozowy	2—2,2	1,7—1,8	1,5—1,6
Czarny . . .	5,5—6,0	4,5—5,8	3,5—4,0

Powiększone ładunki zimowe podane są również na opakowaniu prochu. Przeładowanie prochem nie tylko nie daje żadnej korzyści myśliwe-

mu, przeciwnie, nawet szkodzi, powodując duży odrzut i rozsiew śrucin nieregularny, a nawet pierścieniowy, ze środkiem pustym. Ten sam efekt wywołuje „podsypka z czarnego prochu“, dotychczas jeszcze często stosowana przez PP. Myśliwych, pomimo, że tego rodzaju sposób ładowania może wywołać przejście z normalnego spalania się prochu w detonację, bardzo niebezpieczną zarówno dla broni jak i dla myśliwego.

Podczas elaboracji nabojów największą uwagę należy zwrócić na odważanie ładunku prochu. Dlatego też zamiast miarek, stosowanych do nasypywania namiaru prochu czarnego, w wypadku prochów bezdymnych wskazanym jest stosować małą wagę aptekarską, na której można odważyć namiar prochu z dokładnością do $^{1}/_{100}$ g. Dobroć amunicji fabrycznej polega właśnie na tym, iż skomplikowane maszyny elaboracyjne dają ładunki prochu bardzo regularne.

Ściśle odważoną ilość prochu należy wsypać do łuski i po wstrząśnięciu zbadać, jak proch układa się w komorze prochowej. Proch winien zająć objętość trochę poniżej obrzeża tekturowej komory tak, aby przybitka nie opierała się na prochu, a tylko na obrzeżu komory.

Duży wpływ na obraz strzału ma przybicie prochu. Gdybyśmy za silnie przycisnęli dany ładunek prochu bezdymnego przybitką, to utrudnimy penetrację płomienia spłonki. Wiadomą zaś jest rzeczą, że im dalej i łatwiej ta penetracja zasięgnie, tym pewniej i równomierniej spali się ładunek prochu. Jest to ważne przy wszystkich bez wyjątku prochach myśliwskich o formie płytkowej, gdyż spalają się one trudniej, niż np. dymny proch myśliwski.

Szkodliwe jest zresztą również pozostawienie zbyt dużej przestrzeni między przybitką a prochem. Prawidłowa odległość powierzchni prochu bezdymnego od przybitki winna wynosić od 0,5 do 1,0 mm.

Po zasypaniu śrutu zakładamy zatyczkę, na której należy zaznaczyć numer śrutu i ładunek prochu.

Z POLA I KNIEI

Sprawa odstrzału kaczorów wiosną. O 100 kroków od okna mej pracowni znajduje się staw o obszarze około 3 ha. Jedną stroną dochodzi do zabudowań folwarcznych, z drugiej strony otoczony jest dzikim parkiem. Od strony folwarku nie ma żadnej roślinności, od strony parku sporadyczne wąskie paski trzciny i sitowia. W stawie sporo karasi. W r. 1932 na stawie pokazywały się jedynie jesienią dzikie kaczki i to rzadko; za to było dużo łysek. Wiosną 1933 r. zjawiły się podgorzałki. Ucieszyłem się bardzo, mogąc obserwować mieniące się w słońcu srebrne kaczory. Widząc jednak ciągłe niepokojenie ich przez łyski, odstrzeliłem je i już w kwietniu mogłem zaobserwować dwie kaczki na gniazdach wśród sitowia. Kaczorów było kilka, liczba ich się zmieniała, jednakże ciągle niepokoiły kaczki; obserwowałem raz nawet kaczora, siedzącego na gnieździe zamiast kaczki, którą spędził poprzednio. Później sitowie i trzciny podrosły i dopiero w czerwcu wypłynęła jedna kaczka na wodę, wiodąc za sobą 4 młode. Druga kaczka się nie pokazała. Jesienią zato zlatywało się na staw do 100 kaczek różnych gatunków. Nie strzelałem do kaczek na stawie i nieraz całe dnie spędzały spokojnie na wodzie, wieczorem dopiero zrywając się na żerowiska. Tak było do późnej jesieni. Wiosną 1934 r. pokazało się znowu kilka podgorzałek na stawie. Zabrałem się wtedy do całej sprawy już z małokalibrówką i odstrzeliłem wszystkie łyski oraz każdego kaczora, który był na stawie ponad liczbę kaczek. Cóż kiedy ciągle nowe kaczory się zjawiały, a i łyski się coraz częściej pokazywały. W każdym razie udało mi się zredukować stan kaczorów i łysek tak, że w czerwcu cztery kaczki pływały z młodymi na stawie; najmniejsze stadko miało 6, największe 9 młodych. Gdy dorosły, wiernie trzymały się stawu, a nawet tak go widocznie broniły, że już tylko podgorzałki się nań zlatywały, podczas gdy krzyżówki miały swe siedlisko w równie wielkim bagnie tuż obok stawu. Cyranki natomiast lęgły się w olszowym bagnie o $^{1}/_{2}$ km w polu. Stan ten utrzymał się z mniejszymi wahaniami w ilości do r. 1937. W roku tym nie było już wolno strzelać kaczorów wiosną i ograniczyć musiałem się jedynie do odstrzału łysek. Z wielkim niedowierzaniem i zdenerwowaniem przyglądałem się harcom kaczorów za kaczkami i czerwiec tego roku pokazał, że obawy moje nie były płonne. Cztery kaczki wyprowadziły swoje młode, ale ile ich? Najliczniejsze stadko liczyło cztery sztuki, dwa stadka były po dwa młode, a jedna kaczka paradowała z jednym młodym. Pewną rekompensatą dla mnie było to, że w maju i czerwcu 6—8 kaczorów srebrzyło się stale na stawie, pysząc się swymi rudymi łebkami. I w tym roku narazie znowu powtarza się ten sam obraz i ręka mi swędziła, żeby w maju odstrzelić kilka zapalczywych kaczorków, nawet wbrew prawu. Postanowiłem jednak te drgawki w prawym wskazującym palcu skierować na razie w innym kierunku i pisać. Napisać do „Myśliwego o tym“, co obserwuję i co mnie w tej chwili boli, aby pobudzić i innych braci z pod znaku św. Huberta do wypowiedzenia się w tej sprawie.

Doskonale orientuję się, że wszelkie zakazy myśliwskie są wydawane celem umożliwienia jak największego rozszerzenia się naszej fauny. Kaczka zajmuje wśród niej bardzo poczesne miejsce, zwłaszcza dla nas myśliwych-szaraczków, którzy nie mamy okazji ani do rekordów tysięcznych na równinach Kujaw czy południowego Ponzańskiego, ani do wielkich łowów w puszczach kresowych, ani też do szczytynych wrażeń karpackich

rykowisk. Chętnie poddamy się wszystkim zakazom, które wyszłyby na dobro naszej kaczki. Boję się jednak, że ten zakaz strzelania kaczorów wiosną nie jest celowy, bo obawa nadużycia go jest niewielka. Kaczor wiosną nie jest obiektem dla kłusownika, a żaden prawidłowy i kochający zwierzynę myśliwy nie nadużyje go Niestety w praktyce tak jest, że zwłaszcza w łowiectwie wszelkie zakazy krępują tylko etycznego myśliwego, a ten kto chce je przekroczyć i tak to zrobi, bo trudno go na tym przestępstwie schwytać. Kaczor zabity da się łatwo schować, a w handel i tak nie pójdzie. Zresztą zawsze obserwowałem, że na miejsce zastrzelonego kaczora zjawia się bardzo szybko drugi, więc jest ich widocznie dosyć. Jeżeliby więc inaczej nie można, proponuję pozwolić na odstrzał kaczorów chociażby w miesiącu maju, gdy i tak już kaczki po większej części siedzą na gniazdach, a kaczory im tylko przeszkadzają. *Fr. Głębocki-Grubno*

Odstrzał kaczorów i łysek wiosną. Nawiązuję do spostrzeżeń p. Fr. Głębockiego, odnośnie konieczności odstrzału kaczorów wiosną. Zakaz odstrzału obowiązuje od niedawna i już można widzieć zmniejszenie się ilości kaczek w bież. roku na Pomorzu. Nie można tu winić ani zbyt słotnej ani zbyt suchej wiosny, ani znowóż kanie itp. Winę w tym, że jest mniej kaczek, mają kaczory, których jest nadmiar.

Który z myśliwych nie widział na stawach i rozlewiskach 5 i więcej kaczorów, uganiających się za jedną kaczką? Ileż razy kaczory swymi zabiegami zamęczyły kaczkę? Jasną staje się rzeczą, że zakaz odstrzału kaczorów, bezwzględnie spowodowany troską o stan kaczek, zupełnie chybił, i miast przyczynić się do rozmnoży kaczek, zmniejszył ich stan. Ponadto nadmiar kaczek przyczynia się do tego, że niektóre lęgi się spóźnią tak, że jeszcze w sierpniu spotkać można — obok zupełnie wyrośniętych młodych kaczek — malutkie nielotne kaczuszki.

W ub. roku polowałem na Pomorzu w bardzo dobrych łowiskach kaczych. W 7 miotach ubito w pierwszym dniu 169, a w drugim 116 sztuk. Paść mogło więcej jeszcze kaczek, ale flinty były gorsze.

PIERWSZY KONKURS FOTOGRAFICZNY „MYŚLIWEGO"

Wydawnictwo »Myśliwego« przedłuża termin nadsyłania fotografii na konkurs ogłoszony w numerze 5 »Myśliwego« do dnia 20 stycznia 1939 r.

Wydawnictwo „Myśliwego"

W bież. roku w tych samych warunkach ubito 38 i 34 sztuk pomimo, że w ub. roku na kaczki na przedmiotowych terenach już nie polowano.

Wspomina p. Głębocki o pokusie strzelania do kaczorów w czasie ochronnym jak również opisuje, że strzelał do łysek. A przecież łyski w ustawie łowieckiej należą do zwierzyny łownej (inne ptactwo wodne i błotne) a ich czas ochronny rozciąga się od 1 stycznia do 15 lipca. A zatem te zabiegi ochronno-łowieckie p. G. były wprawdzie przestępstwem prawnym, a nie łowieckim. Łyska bowiem bardzo jest kłótliwa, bardzo ruchliwa i stale niepokoi kaczki. Tam gdzie jest dużo łysek, tam mało jest kaczek, tak samo jak w łowiskach zając nie lubi królika. A mimo, że szkodliwy wpływ obecności łysek na kaczki jest udowodniony, zgodnie z prawem łowieckim nie wolno strzelać tych czarnych szkodników właśnie wtedy, kiedy trzeba im przeszkadzać w gniazdowaniu.

Znieść zatem wiosenny czas ochronny na kaczory, określić dokładnie, co zrozumieć należy pod mianem „inne ptactwo wodne i błotne", a zezwolić również na odstrzał łysek wiosną!! (od 1 stycznia do 15 lipca).

Jak podpisanemu wiadomo, Pomorska Wojewódzka Rada Łowiecka na posiedzeniu w dniu 12 września uchwaliła wystąpić do władz centralnych o zniesienie wiosennego czasu ochronnego (na Pomorzu) na kaczory i łyski.

Myśliwy z Pomorza

Zachowywanie się zwierzyny podczas nocy księżycowych. W jednym ze starszych roczników „Wild und Hund" czytałem artykuł traktujący o zachowywaniu się zwierzyny w jasne noce księżycowe. Między innymi autor twierdził, że w takie noce sarny często straszą. — W związku z tym chciałbym podzielić się z czytelnikami „Myśliwego" pewnym spostrzeżeniem.

Wiosną br. wybrałem się na słonki i zasiadłem przy brzegu bagienka, ciągnącego się wąskim pasem wzdłuż starodrzewia. Wieczór był bezwietrzny i pogodny, a na ten dzień przypadała pełnia księżyca. Słonek nie było, natomiast pokazało się kilka saren, które tu miały swoją wagę i które, nie podejrzewając mojej obecności, spokojnie żerowały. Było ich 6 sztuk. Poddałem je obserwacji przez lornetkę i stwierdziłem, że znajdujący się wśród nich kozioł doskonale się zapowiada i czekam dalszych wypadków. Kiedy zaczynało się ściemniać, ukazała się za górką pełna tarcz księżyca. Sarny się ciągle jeszcze kręciły wzdłuż bagna w odległości 50—60 m ode mnie. Nie chcąc

ich niepotrzebnie niepokoić, chciałem poczekać, aż się oddalą i potem zejść ze stanowiska. W pewnej chwili zaczęły sarny straszyć, najpierw jedna, potem wszystkie sześć. Niebawem odezwały się również sarny w dalszych partiach lasu. Co do stanu saren w tym rewirze byłem dokładnie zorientowany i kiedy wsłuchiwałem się w ten koncert stwierdziłem, że właściwie nie braknie ani jednej sztuki; odezwały się wszystkie. Trwało to z małymi przerwami przez około 15 minut. Zdarza się, że kiedy jedna sztuka z tych czy innych względów zaczyna straszyć, odezwą się również inne sztuki. Przyznam się jednak, że tego rodzaju długotrwałego i zarazem generalnego, że się tak wyrażę, straszenia nigdy dotąd nie zaobserwowałem. Zaznaczam przy tym, że obserwowane przeze mnie sarny nie mogły mnie nawet zwietrzyć, ponieważ dzień był bezwietrzny; zauważyć mnie również nie mogły, bo stanowisko było dobrze zamaskowane (grupa jałowców), ponadto byłem w ubraniu koloru ochronnego i siedziałem zupełnie spokojnie. Zaintrygowało mnie to zjawisko i przypomniał mi się wspomniany artykuł z „Wild und Hund". Nie wiem, czy istotnie można znaleźć tu jakiś związek przyczynowy, bo wydaje mi się, że powodem straszenia w danym wypadku mogły być przyczyny dla zmysłów ludzkich nieuchwytne. Gdyby który ze współwyznawców Św. Huberta był w poruszonym temacie zorientowany, prosiłbym o udzielenie informacji na łamach „Myśliwego". *Inż. J. P.*

Ciekawy układ wieńców. Podczas rykowiska 1937 r. widziano w Nadleśnictwie Chociński Młyn (powiat Chojnice) jelenia z wieńcami stale ułożonymi na grzbiecie. Widok bardzo dziwny.



Początkowo przypuszczano, że nieregularne ułożenie wieńców powodowane jest wygięciem tyk. Znaleziony zrzut (p. fot.) wyjaśnił jednak całą tajemnicę. Róża i nasada tyki ułożona jest równolegle do długości tyki, a nie stanowi jej przedłużenia; róża, jak wiadomo, leży w normalnych warunkach równolegle do odnogi ocznej.

Ciekawe, czy w bież. roku nasada wieńców u jelenia tego jest ta sama. *Dr J. Ł.*

Jelenie — smakoszami. Poczyniłem ciekawą obserwację. Pole zasadzone kartoflami i to pasami. Pierwszy pas odmiana „Rosafolia" (ziemniaki czerwone-żółto-mięsne). Drugi pas odmiana „Jubel" (ziemniak biały — zwykły). Trzeci pas odmiana „Niebieskie Odenwälder" (kartofel żółtomięsny). Pasy Rosafolia nawiedzone zostały przez jelenie; przez Jubel jelenie przeszły, nie ruszając tej odmiany. Natomiast najbardziej grasowały jelenie w niebieskich Odenwälderach. Widocznie i jelenie odróżniają jakość kartofli. *Franek*

Krzyżówka pomiędzy tchórzem i tchórkiem (fretką). Wiosną br. udałem się na polowanie na króliki. Zabrałem ze sobą mego tchórka, osobnika dość wielkiego, koloru żółtawo-białego. Tchórek ten był samiczką. Już kilka dni przed zamierzonym polowaniem spostrzegłem u tchórka pewien niepokój i t. p. objawy ciekania się.

Wpuszczam fretkę do pierwszej nory — wyskakuje królik — pudłuje. Z drugiej norki wypadają 2 króliki — doublé!

Idę z tchórkiem do następnych jam króliczych. Wpuszczam fretkę. Królików nie ma — ale fretka nie wychodzi. Słyszę w norze hałas. Wtem wyskakuje z nory tchórz. Nie zdołałem strzelić doń. Czekam na fretkę. Po godzinie wychodzi, ma okrwawiony pyszczek i uszy.

Do nory już nie chce wchodzić. Później na króliki nie polowałem więcej. Tchórek stawał się coraz ociężalszym i grubszym, aż w maju znalazłem w klatce 3 młode. Im bardziej dorastały, tym stawały się podobniejsze do tchórza. Są dzikie, nieufne, dziś już większe od matki i zupełnie podobne do tchórza. A zatem tchórz, siedzący w norze, pokrył grzejącą się fretkę *J. Kasperski*

Oswojona zwierzyna łowna. Nawiązując do artykułu p. W. Gürtlera, który twierdzi, że tragicznie kończy życie oswojona sarna, zając czy kuropatwa, w stu procentach przyznaję mu rację. Będąc w początkach lipca w Białężycach u p. O., przyniósł okoliczny gospodarz małego koziołka. opiekował się nim jak matka nie pozwalając nikomu obcemu zbliżyć się do koziołka.

Trzeba się było nim zaopiekować. Pani O. ma hodowlę psów. Psy bardzo prędko przyzwyczaiły się do nieznanego stworzonka. Największa przyjaźń była z „Lordem" krótkowłosym niemieckim wyżłem i z „Czibi" szkocką terierką. „Lord" opiekował się nim jak matka, nie pozwalając nikomu obcemu zbliżyć się do koziołka.

Cały powiat wrzesiński zagrożony był pryszczycą, no i wreszcie wybuchła w Białężycach. Koziołek zdechł pierwszy. Tymczasem w polu nie zdechła ani jedna sztuka. Będąc we wrześniu (po wygaśnięciu pryszczycy) na kuropatwach, znalazłem wszystkie sarny z koźlętami i rogacze w koniczynie, cieszące się najlepszym zdrowiem. Tak więc każdy myśliwy powinien stanowczo wszystkim odradzać oswajania dzikich stworzeń.

Najlepiej zostawić je tam, gdzie się je znalazło. Jadąc z Poznania do Gniezna samochodem, z wielkim trudem, przy użyciu wszystkich hamulców, wyminąłem sarenkę. Z dwóch stron szosy był las. Wziąłem sarenkę i zaniosłem do rowu. Zaczekałem, aż podniosła się i znikła w paprociach. Zdawało mi się, że jest sama, dopiero przy wsiadaniu zobaczyłem matkę, która opodal przyglądała się tej scenie w bezruchu. Zatem chociaż nam się zdaje, że sarenka czy zajączek jest sam, matka napewno gdzieś w ukryciu czuwa. *J. W.*

Z ŻYCIA MYŚLIWSKIEGO

X. POKAZ WYŻŁÓW RASY NIEMIECKIEJ W NIEDŹWIEDZIU (Pom.). W dniu 12 i 13 września odbył się w Niedźwiedziu X doroczny pokaz i konkurs wyżłów rasy niemieckiej.

Po raz pierwszy urządzono pokaz ten po prawym brzegu Wisły i to z uwagi na to, by myśliwym z powiatów, położonych po tym brzegu Wisły, ułatwić uczestniczenie w imprezach.

Psi materiał, przedstawiony na pokazie, był sędziom zupełnie obcy. Psy bowiem stawały po raz pierwszy do pokazu i konkursu przed komisją pomorską.

Przedstawiono 5 psów — niemców krótkowłosych, i 4 psy szorstkowłose, z tego 2 psy z silną domieszką krwi pudel-pointerów.

Materiał co do formy zewnętrznej na ogół dobry, w niektórych szczegółach budowy wykazywał jednak tu i ówdzie pewne braki.

Wyżły krótkowłose

1. Najlepszym psem był Castor, własność p. Krukierskiego spod Inowrocławia. Pies ten o bardzo dobrej budowie, pięknej głowie i głębokiej piersi był psem bez błędu. Otrzymał medal złoty Pomorskiej Izby Rolniczej w Toruniu.

2. Blanka-Ira — własność p. Przybyły, otrzymała medal srebrny P. I. R. Pies ten wysoko podrasowany, jest dobrze zbudowany. Nieco lekka, ogólna budowa Blanka-Iry wskazuje na domieszkę krwi pointera, choć w rodowodzie nie można się dopatrzeć przodków pointerów.

3. Aza — suka brązowa — własność p. Ed. Tobolskiego, otrzymała medal brązowy P. I. R. Suka ta jest budowy nieco drobnej, oraz posiada zad ścięty, który tym bardziej rzuca się w oczy, że suka posiada długi ogon.

4. Tor — własność pryw. leśn. A. Jutrowskiego —jest psem bardzo silnym i mocno zbudowanym. Posiada jednak rozwarty pazur, ponadto był w słabej kondycji oraz miał schorzałe oko (chronicznie).

5. Bojar — własność not. Dietla — jest psem bardzo mocno zbudowanym, posiada szeroką pierś. Uzębienie wadliwe, słabe i chore.

Wyżły szorstkowłose

6. Ritta-Modersee — własność leśn. pryw. A. Jutrowskiego — suczka ładnie zbudowana, o dobrej konstytucji, nieco za drobna. Brązowy medal P. I. R.

7. Ingo — własność p. Coellego — silny pies, o dobrej, głębokiej piersi, jednakże nieco wąskiej i ścięty zad. Kondycja średnia. List Pochwalny Pom. Izby Roln.

8. Iwan — własność leśn. państw. E. Raszkego — pies silny i dobrze zbudowany, o wadliwym zbyt miękkim owłosieniu. Odnośnie owłosienia i maski przypuszczać należy, że jeden z przodków psa tego był pudel-pointerem.

9. Barry — własność leśn. państw. Buschego — pies silny, bardzo długi — owłosienie wadliwe jak u Iwana — Barry jest bratem Iwana tego samego miotu.

SPRAWOZDANIE Z KONKURSU WYŻŁÓW DOWODNYCH „ŁOWCA WIELKOPOLSKIEGO". Tradycyjnym zwyczajem urządził „Łowiec Wielkopolski" swój doroczny konkurs wyżłów dowodnych w dniu 10 września br. na terenach użyczonych przez Fundację Zakładów Kórnickich.

Przed gronem sędziów w składzie: 1. p. Dobiesława hr. Kwileckiego, przewodniczący, 2. p. dra St. Celichowskiego, 3. p. nadleśniczego Tadeusza Metziga, 4. p. dra Jerzego Szumana, 5. p. por. Józefa Łuczkowskiego — stanęły wyżły, a mianowicie:

1. „Ada z nad Czarnego Jeziora", suka p. Zulki Jana z Dusiny. Ojcem jej jest „Trop z Boreczka", matką „Senta z nad Czarnego Jeziora". Maści brązowej o dobrej budowie.

2. „Tutta z nad Warty", suka szorstkowłosa p. Mariana Siudzika z Jasionny. Ojcem jej jest „Ottello von Buchenberg", matką „Senta z nad Warty". Maści siwej, brązowo nakrapianej o dość dobrej budowie.

3. „Kora", suka szorstkowłosa p. Kaźmierskiego z Mosiny. Ojcem był „Rino", matką „Mery". Maści brunatnoszarej i stosunkowo słabej budowie.

4. „Wojtek z nad Warty", wyżeł krótkowłosy o dużej domieszce krwi angielskiej, p. Mariana Siudzika z Jasionny. Ojcem jego jest „Rabuś", matką „Słonko z nad Warty". Maści jasno-brązowej o delikatnej budowie.

Po dokonanej prezentacji psów przystąpiono do przeprowadzenia prób w pracy leśnej, wodnej i polnej, w wyniku której komisja sędziowska przyznała II premię wyżlicy „Ada z nad Czarnego Jeziora".

III premię wyżlicy „Tutta z nad Warty".

Pozostałe psy nie wypełniły wszystkich warunków wymaganych regulaminem do uzyskania premii.

Charakterystyka pracy poszczególnych wyżłów

1. „Ada z nad Czarnego Jeziora" jak na młodą, zaledwie czternastomiesięczną sukę, okazała się bardzo dobrą, zawiodła jedynie na tropie sfarbowanym, który wypracowała po powtórnym założeniu. W ciętości dobrze osadzała drapieżnika. W pracy wodnej jak i w pracy polnej okazała się bardzo dobrą. Uzyskała ogółem 179 punktów i drugą premię, uprawniającą do zapisania do księgi rodowodowej.

2. „Tutta z nad Warty" okazała się na ogół przeciętną wyżlicą. W pracy na tropie sfarbowanym doprowadziła po ponownym założeniu. W ciętości dość dobra. W pracy wodnej bardzo dobra, zawiodła jedynie w pracy polnej, podczas której egzamin zdała z wynikiem lepiej jak dostatecznym. Uzyskała punktów 156 i trzecią nagrodę.

3. „Kora" zupełnie zawiodła na tropie sfarbowanym, dzięki czemu straciła wszelkie szanse na zdobycie premii mimo, że w pozostałych pracach okazała się na ogół dobrą. Uzyskała ogółem 127 punktów.

4. „Wojtek z nad Warty" zawiódł zupełnie na tropie sfarbowanym, którego pomimo kilkakrotnych zakładań nie wyprowadził i nie doprowadził do kozła, skutkiem czego stracił również szanse na zdobycie premii. W ciętości okazał się dobrym, po długim osadzaniu zadławił kota. W pracy wodnej za kaczkami pracował dobrze, zawiódł w aportowaniu z głębokiej wody. W pracy polnej dość dobry. Uzyskał ogółem 140 punktów.

Po ustaleniu wyników przewodniczący rozdał menerom wyżłów — które zdobyły premie — dyplomy, zachęcając myśliwych do dalszej pracy nad hodowlą i tresurą wyżłów dowodnych.

Inż. Gołęcki



Narybek myśliwski

P. Wł. Laszenko, uczeń gimnazjalny z Włocławka, z pierwszym dzikiem, ubitym w leśn. Brzozowo pow. Bydgoskiego. (Kula 12,7 — Tesco).

Przypominamy PP. Myśliwym, że Wydawnictwo »Myśliwego« oprócz egzemplarzy wydawanych na normalnym papierze, drukuje pewną ilość numerów na kredowym papierze. Abonament miesięcznika na kredowym papierze wynosi rocznie zł 20.

Wydawnictwo „Myśliwego"

SKRZYNKA ŁOWIECKA

25. *Myśliwemu z Pomorza w sprawie zarazy płucnej i gzów gardlanych.*

Jest rzeczą stwierdzoną, że rogacze, chorujące na zarazę płucną nasadzają złe i rachityczne porożenia. O wpływie tej zarazy na budowę poroży ukaże się w swoim czasie obszerniejszy artykuł na temat ten na łamach „Myśliwego".

Giez gardlany *(Cephenomya)* podobny jest do trzmiela wielkości 15 mm. Rójka odbywa się w maju do sierpnia i to szczególnie w dnie parne. Podczas lotów rójki wyrzuca giez jaja, a raczej larwy już wykłute z jaj w chrapy zwierzyny, gdzie się przyczepiają i wędrują poprzez trąbkę Eustachiusa do gardła. Od marca do lipca znaleźć można zdechłe sarny, mające w krtani pełno czerwi gzów. Zwierzyna opadnięta przez ten gatunek gzów kaszle, pluje, ciężko oddycha i charczy. Odstrzał takich sztuk jest konieczny. Głowę, szyję oraz drogi oddechowe należy spalić. Prof. Stroese zaleca postawiać lizawki z wycięciem stożkowatym, brzeg których smaruje się smołą drzewną. Zwierzyna liżąc sól wala sobie chrapy smołą, zapachu której gzy nie lubią. *W.*

Do powyższej rady prof. Stroesego mam pewne zastrzeżenia a mianowicie, nie mogę sobie wyobrazić, aby sarna lub jeleń z tak wybitnie delikatnym powonieniem zbliżyły się do lizawki wysmarowanej smołą, a tym bardziej ją lizały. Straciły by one wtedy w wysokiej mierze powonienie, które je chroni przed wrogiem jak również jest im potrzebne podczas żerowiska, nie odróżniałyby poszczególnych roślin, coby im również na zdrowie nie wyszło.

Od dłuższego czasu fabrykuję lizawki i wiem z doświadczenia, jaka czystość podczas fabrykacji musi być zachowana, że tylko najlepsze i najczystsze chemikalia można tu zużyć, inaczej sarny i jelenie lizawek nie wezmą.

Nie wszystko złoto co się świeci i też nie wszystko to dobre, co nam nasz sąsiad z zachodu mówi, osobiście przyjmuję jego eksperymenty z pewnym zastrzeżeniem i ostrożnością do wiadomości.

T. Metzig, em. nadleśniczy.

26. *Czym ubezpieczyć zalesienie na pow. 40 ha od szkód, wyrządzonych przez sarny i dziki?*

Proszę o wskazówki, kiedy zacząć smarowanie, czym i co to może kosztować na ha.

A. Pawłowicz, Witkowo-Turek.

Nie pisze Pan, czy są to uprawy dębowe czy sosnowe. Przypuszczać należy, że po części dębowe, które niszczą dziki. Środkiem bodajże jedynym jest ogrodzenie danych upraw.

Co do ogryzania pędów szczytowych przez sarny, to najlepiej jest smarować różnymi cuchnącymi środkami, których jest bez liku. Np. 3 łyżki lizolu na 15 l wody, trochę tłustej gliny, łajno krowie. W stosunku do wody 1:1 (ewtl. krew bydlęcą) na 1 ha trzeba 120—140 litrów. Koszt 1 ha 6—8 zł. Prócz tego używać można smar do wozów z wapnem i krwią bydlęcą w stosunku 1:1:1,5 i rozcieńczyć wodą.

Dokładnie opisuje obronę upraw leśnych oraz drzewostanów od szkód, wyrządzanych przez zwierzynę łowną inż. L. Ossowski w nrze 13/33 r. „Kłosów". Odbitkę tej pracy może Pan dostać albo w Inspektoracie Leśnictwa Pom. Izby Rolniczej w Toruniu, wzgl. w Sekcji Leśników Prywatnych w Grudziądzu, ul. Legionów. *O.*

MYŚLIWI! Złom myśliwski na F. O. N.
Nie wyrzucajcie wystrzelonych łusek. Składajcie je w Redakcji „Myśliwego". W myśl porozumienia z Władzami Wojskowymi wystrzelone łuski — złom myśliwski — odstawiamy do najbliższej składnicy uzbrojenia na rzecz F.O.N.'u.

Fotografia na okładce Włodzimierza Puchalskiego

Nakład i druk: Rolnicza Drukarnia i Księgarnia Nakładowa Spółka z ogr. odp. w Poznaniu, ul. Sew. Mielżyńskiego 24, telefon 23-65.

Redaktor naczelny: Dr inż. Leon Ossowski.

Redaktor odpowiedzialny: Stanisław Wierusz.

Adres redakcji i administracji: Poznań, ul. Sew. Mielżyńskiego 24, telefon 23-65.

Prenumerata: za kwartał zł 3, za pół roku zł 6, za rok zł 12. Pocztowe konto rozrachunkowe nr 28, PKO 212 175.

Redakcja nie zwraca rękopisów przyjętych do druku i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów oraz decyzji co do czasu ich umieszczenia.